

Przetrwaj
dla
mnie

SARAH A. BAILEY

Przetrwaj

dla
mnie



PACIFIC SHORES

PRZEŁOŻYŁA KAROLINA BOCHENEK



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Vice & Violet (Pacific Shores Series Vol. 4)

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Ewelina Czajkowska
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Kinga Dąbrowicz
Projekt okładki: Wojciech Bryda
Zdjęcie na okładce: © alexzhilkin / Stock.Adobe.com
Wyklejka: © New Africa / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Vice & Violet: Copyright © 2026 by Sarah A. Bailey

Copyright © 2026 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki an imprint
of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Karolina Bochenek, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-714-3

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Bliss



*Tym, którzy utknęli w ciemności:
obyście znaleźli swój ultrafiolet,
który was z niej wyciągnie.*

*I kobietom, które mówią: „Mogę go naprawić”.
Augustus jest cały wasz.*

Ostrzeżenia dotyczące treści

W książce występują: motywy śmierci (z przeszłości, a jednak szczegółowo tu zrelacjonowanej), myśli samobójczych, skrajnych uczuć związanych z żałobą, zaniedbania i odrzucenia przez rodziców, a także opisy lęków nocnych, wzmianki o ciąży i porodzie (postaci drugoplanowej), poronieniu, alkoholizmie, depresji, różnego rodzaju lękach i molestowaniu seksualnym oraz opis przypadku przedmiesiączkowego zaburzenia dysforycznego (PMDD).

PROLOG



Fiołek

CZTERY LATA TEMU

hoax ★ **Taylor Swift**

Zawsze uważałem marzec za początek wiosny – kojarzył mi się z kwitnącymi kwiatami, słońcem, nadzieją na nowe i tego typu bzdurami.

Lodowaty podmuch wiatru, który szczypie mnie w policzki, gdy wychodzę ze stacji metra West Fourth Street – Washington Square, wydaje się jednak raczej zapowiedzią rozpaczny niż zwiastunem nowego początku.

Powiększam mapę na ekranie telefonu dwoma palcami, próbując się rozeznaczyć, w którą stronę mam iść, żeby dotrzeć do zaznaczonej na niej pinezki. Muszę przejść trzy przecznice na północ, a potem skręcić w prawo w Dziesiątą Ulicę, co powinno mnie doprowadzić prosto pod jej drzwi. Tylko że dziś już trzy razy się zgubiłem, dlatego trudno mi teraz o optymizm. Adres

wyciągnąłem od Moniki: udałem, że chcę niby wysłać Elenie jakąś kartkę. Na szczęście nie dopytywała, z jakiej niby okazji, skoro do jej urodzin jest jeszcze daleko, podobnie jak do jakichkolwiek świąt, które zasługiwałyby na taki gest.

To było trzy tygodnie temu. W tym czasie potajemnie zarezerwowałem tu lot i powiedziałem moim przyjaciołom (tak się składa, że są także członkami jej rodziny), że spędzę weekend z rodzicami w Palm Springs. Wiedziałem, że nie będą o nic dopytywać, bo moi rodzice już nawet z nimi nie rozmawiają. Właściwie to nie utrzymują kontaktu z nikim, nawet ze mną.

W końcu jakoś udaje mi się dotrzeć pod adres, który podała mi Monica. To uroczy budynek z czerwonej cegły ze schodami prowadzącymi tylko do jednego wejścia. Liczne czarne schody przeciwpożarowe i białe ramy okienne wychodzące na ulicę zdradzają, że w środku są same lokale mieszkalne.

Podchodzę do drzwi wejściowych i zauważam metalowy panel z numerami mieszkań i okrągłymi przyciskami. Sprawdzam ponownie adres, upewniam się, że mieszka pod numerem trzysta trzynastcie, i naciskam odpowiedni przycisk.

Żadnej odpowiedzi.

– No dalej, Eleno. Ty pieprzony tchórze – warczę pod nosem, gdy po minucie dzwonię ponownie.

Wiatr się wzmaga, więc otulam się szczelniej płaszczem. Zdecydowanie powinienem był się cieplej ubrać. Nie spakowałem się na dłuższy pobyt, bo hotele na Manhattanie są cholernie drogie, a ja nie mam pojęcia, jak potoczy się to spotkanie. Na wszelki wypadek wołałem się przygotować mentalnie na ból – większy niż ten, który mi zadała, kiedy obudziłem się sam tamtego ranka miesiące temu. Uznałem, że jeśli będę miał przy sobie tylko bagaż podręczny, to może jakoś lepiej znieść powrót do Kalifornii z podkulonym ogonem.

Chociaż spodziewam się najgorszego, to jednak nie mogłem nie zaryzykować i tu nie przyjechać. Dałem jej już wystarczająco czasu i przestrzeni – w sumie aż sześć miesięcy. Znam ją lepiej niż ktokolwiek inny na tym świecie, dlatego dobrze wiem, że tłumi wszystko w sobie i pozwala emocjom narastać. A w końcu miejsce początkowego wstrząsu zajmą przecież żal i poczucie winy, o ile już się nie pojawiły.

Jakaś część mnie wścieka się na nią, że się ode mnie odcięła, inna cholernie obawia, że mnie obwinia i już nigdy więcej nie spojrzy mi w oczy, nie widząc w nich ducha. Ale i tak wygrywa we mnie desperackie pragnienie poznania, co się dzieje w jej głowie, żebym mógł jej jakoś w tym pomóc. Zawsze rozumiałem ją jak nikt inny. Potrafiłem nawet wyczytać w jej myślach to, czego sama nie umiała wypowiedzieć. I jestem przekonany, że właśnie dlatego ode mnie uciekła: dobrze wie, że gdy tylko popatrzy mi w oczy, jej tłumione uczucia wypłyną na powierzchnię. I nie jest gotowa się z tym zmierzyć.

Zatem tak – jestem na nią wściekły. Ale przede wszystkim po prostu potwornie za nią tęsknię. Bez niej jestem wrakiem człowieka. I choć przeraziło mnie poczucie winy, które ożyło we mnie na jej widok i które czułem tamtej ostatniej nocy, gdy spała w moich ramionach, to jednak nie boję się go na tyle, żeby nigdy więcej nie spojrzeć jej w twarz.

Dałem jej całe trzy miesiące na ukrycie się w Nowym Jorku, a teraz przyszedłem po swoje. Zobaczy mnie, porozmawia ze mną i mnie wysłucha. Naprawię to. Naprawię nas. Bo po tym wszystkim nadal wierzę, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Trudno mi jednak poczuć, że los jest po mojej stronie, kiedy dociera do mnie, że najwyraźniej nie ma jej w domu.

Wzdycham ciężko, schodzę po schodach i postanawiam się przejść po okolicy. Kupuję szalik, kanapkę i colę w bodedze na

rogu, po czym wracam pod jej budynek. Dzwonię jeszcze trzy razy – żadnej odpowiedzi. Siadam więc na najniższym stopniu schodów i czekam.

A może jednak jest tam w środku, tylko mnie ignoruje? Jeśli tak, przeczekam to. A jeżeli nie, to też zamierzam tu poczekać, aż się wreszcie pojawi. Nawet gdybym miał tu przesiedzieć całą noc. Mówi się, że Nowy Jork to miasto, które nigdy nie śpi, więc ja też nie muszę. Wiem tylko, że nie przeleciałem pięciu tysięcy kilometrów, żeby nie zobaczyć jej pieprzonej twarzy.

Wkładam AirPods do uszu, a gdy słońce znika za horyzontem i temperatura spada jeszcze niżej, owijam szalik wokół szyi i brody i chowam ręce w kieszeniach płaszcza. W uszach rozbrzmiewają mi dźwięki muzyki Hoziera, a w kościach czuję dreszcz niepokoju, ale rozsiadam się i czekam, po raz pierwszy od tamtej styczniowej nocy czując jakiś cień nadziei.

Po chwili znajomy śmiech przywraca mnie do rzeczywistości. Otwieram oczy, prostuję się i uświadamiam sobie, że musiałem się zdrzemnąć oparty o poręcz schodów. Sprawdzam, czy mój plecak nadal leży między moimi nogami, i z ulgą stwierdzam, że nikt mi go nie ukradł.

Słońce już dawno zaszło, ale przy tak intensywnym miejskim oświetleniu jest niemal tak jasno jak w dzień. Chodniki wciąż są pełne przechodniów: dziesiątki osób wchodzi do budynków, barów i restauracji na ulicy przede mną albo z nich wychodzą. Atmosfera jest gwarna i radosna. Chyba rozumiem, dlaczego ludzie tak kochają Nowy Jork, choć nie wiem, czy potrafiłbym żyć w miejscu, gdzie nie widać gwiazd na niebie.

Zastanawiam się, czy to dlatego Elena przyjechała właśnie tutaj. Może próbuje uciec od nieba, które jej o mnie przypomina?

Ten śmiech rozbrzmiewa ponownie, tym razem bliżej. Znam go lepiej niż bicie własnego serca. Nadal pamiętam, jak

podskoczyło mi tętno, gdy usłyszałem go pierwszy raz, jeszcze jako dzieciak. Poczułem wtedy, że jestem gotów zrobić wszystko, żeby tylko znów go usłyszeć.

Wstaję i rozglądam się za nią. Nie wiem, jak zareaguje, gdy mnie zobaczy, ale mam nadzieję, że przynajmniej wpuści mnie do środka i da mi szansę wytłumaczyć, dlaczego tu przyjechałem.

W końcu dostrzegam ją wychodzącą zza rogu pobliskiej alejki. Zupełnie nie zwraca uwagi na otoczenie, więc mnie też nie zauważa. Trzyma się za ręce z dwiema osobami: dziewczyną o krótkich platynowych włosach z niebieską czapeczką na głowie oraz wysokim szczupłym mężczyzną, który patrzy na Elenę, jakby to ona zawiesiła na niebie księżyc.

Jej ciemne loki unoszą się i opadają, gdy podskakuje między nimi, a piękna twarz rozjaśnia się od beztroskiego śmiechu.

Co to ma znaczyć, do cholery?

Za nimi idzie jeszcze dwoje innych ludzi. Wysoki facet mówi coś, co wzbudza u nich wszystkich salwę śmiechu. Elena puszcza dziewczynę i pozwala mu obrócić ją w kółko na chodniku. Chichocze jak pieprzona nastolatka, a on przyciąga ją do siebie, obejmując w tali.

Zbiera mi się na wymioty.

Zeskakuję ze stopnia, chowam się za schodami prowadzącymi do jej budynku i przysłuchuję dalej, jak rozmawia z tą grupką obcych mi osób. Z każdą sekundą jej głos staje się coraz wyraźniejszy. Mam zupełny mętlik w głowie i czuję nieznośny ciężar w żołądku, bo... Elena brzmi zupełnie normalnie. Wydaje się wręcz szczęśliwa.

Miesiącami izolowała się nie tylko ode mnie, ale też od braci i rodziców – w zasadzie każdego, kto ją kocha. Nie jadła, nie spała i do nikogo się nie odzywała. Nie przyszła nawet na przekłety pogrzeb mojego brata, na litość boską.

Z tego, co mówił Everett, podobno nie wyrabiała się z terminami i potrzebowała zmiany otoczenia, żeby skupić się bardziej na pisaniu. A czy istnieje lepsze miejsce dla pisarza niż Nowy Jork? Sądziłem, że to tylko wymówka, żeby dalej gnść w samotności, bo choć Elena potrafi się rozpaść na kawałki, to jednak nie znosi, gdy inni się o nią martwią. Myślałem, że znów założyła tę samą maskę co zawsze i udaje, że wszystko z nią w porządku, podczas gdy w środku się rozpada. Byłem przekonany, że bez nas wszystkich pogrzeży się tu w mroku i przez ostatnie trzy miesiące – od chwili, gdy wsiadła do samolotu – zamartwiałem się o nią dniami i nocami.

Odłożyłem własną żalobę na bok, żeby na pierwszym miejscu postawić jej ból. Przestałem dbać o siebie, bo tak bardzo chciałem zatroszczyć się o nią, a kiedy mi na to nie pozwoliła, sam siebie zniszczyłem w jakimś chorym geście solidarności, choć jej już przy mnie nie było i nawet nie mogła tego zobaczyć.

Łudziłem się, że kiedy w końcu wróci, powiem jej, że na nią czekałem, ponieważ nie chciałem leczyć swoich ran bez niej – pragnąłem, byśmy wyleczyli się razem.

Ale kiedy chowam się teraz za ceglanym murem w sercu Manhattanu, słuchając, jak miłość mojego życia śmieje się z innym mężczyzną, dociera do mnie, że tylko ja się tu rozpadam.

Przygryzam pięść, żeby stłumić krzyk, gdy słyszę, jak otwiera główne drzwi budynku, a potem wchodzi ze znajomymi do środka. Najwyraźniej stworzyła sobie tutaj całkiem nowe życie i spędza czwartkowy wieczór z przyjaciółmi, podczas gdy ja czekam na nią w Kalifornii, niszcząc przy tym siebie.

Kiedy nasz świat spłonął wokół nas, myślałem, że zginęła razem ze mną w płomieniach. A teraz stoję na zgliszczach domu, który razem zbudowaliśmy, i uświadamiam sobie, że przez cały ten cholerny czas byłem zupełnie sam.

1



Pokusa

Liability ★ Lorde

Jedyną gorszą rzeczą od nieodwzajemnionej miłości jest przeżywanie żałoby po niej.

Romantyzowanie życia i snucie nawet najbardziej niedorzecznych fantazji są wpisane w ludzką naturę. Tak jak marzenia o bezwarunkowej miłości. Fantazjujemy o tym, jak w końcu dostajemy ją od tych, którzy w rzeczywistości wcale nie chcą nam jej zaoferować. Marzymy o zieleńszej trawie, jaśniejszym niebie i mocnym uścisku rąk, które chwytają nas, gdy upadamy.

I nawet gdy niczego takiego nie zaznajemy, nadal możemy żyć w marzeniach o świecie, w którym ukochana osoba odwzajemnia nasze uczucia.

Chyba że umrze. Bo śmierci już nie da się romantyzować.

Jej ostateczność jest duszącą. Zapomnienie i wybaczenie przestają być możliwe.

Czas staje w miejscu.

Twoje ostatnie słowa rozbrzmiewają echem poprzez wieczność, stając się nieśmiertelne. Jak tatuaże na duszy, które pozostają z tobą już na zawsze.

Patrzę na kursor migający w oślepiającym blasku ekranu mojego komputera. Przecieram zmęczone oczy i zerkam niechętnie na zegar w rogu laptopa. Jest trzecia czterdzieści sześć.

Wzdycham, zaznaczam wszystko, co właśnie napisałam, i wciskam klawisz „delete”.

– Nikt nie przeczyta cholernego romansu, który się tak zaczyna – mamroczę do siebie w martwej nocnej ciszy. Chowam głowę w dłoniach i masuję skronie palcami.

W końcu zamykam laptop i zapalam małą lampkę na biurku, która rzuca na pokój ciepły blask. Moje ciało natychmiast się uspokaja.

Nie boję się ciemności, tylko tej okropnej spirali myśli, w którą wpadam, kiedy za długo rozmyślam o tych wszystkich życiach, których nigdy nie przeżyję. To niefortunny efekt uboczny bycia pisarką romansów utkniętą w brutalnej, pełnej niekończącego się cierpienia rzeczywistości. Ciemność w połączeniu z wysiłkami twórczymi wyzwala we mnie demony, które próbowałam pogrzebać przez prawie cztery lata – te same, które tak gwałtownie powróciły do mojego życia, gdy mój brat bliźniak niespodziewanie pojawił się w moim mieszkaniu na Brooklynie i zabrał mnie z powrotem do domu, do Kalifornii.

Miałam swoje powody, żeby stąd wyjechać.

Łatwiej mi ignorować duchy, które mnie nawiedzają, gdy nie muszę stawiać twarzą w twarz z pozostałymi po nich wspomnieniami z dzieciństwa. Zwłaszcza w takie dni jak dziś.

Nigdy sama z siebie go nie wspominam. Może to jego twarz nawiedza mnie w koszmarach i to jego głos krzyczy w mojej

głowie, gdy przypominam sobie wszystkie części mnie zasługujące na nienawiść? Może właśnie to jego brak zamienił miejsce, które kiedyś nazywałam domem, w jałowe pustkowienie? Ale nie, nie wspominam go.

Poza drugim października.

To dla mnie najgorszy dzień w roku.

Zawsze, gdy przypominam sobie zapach na izbie przyjęć, wyraz twarzy mojego brata, własne wymiociny na betonie przed budynkiem, krzyk jego matki, wciąż pachnącą nim pościel w moim pokoju gościnnym albo kubek w zlewie po kawie, którą mu nalałam tamtego ranka – cała ta przeszłość uderza we mnie z pełną mocą.

Nie wiem, ile czasu zajęło mi dojście do momentu, w którym zaczęłam wyłapywać te bodźce i umieszczać je w osobnych pudełkach w moim umyśle, uznając ich realność, a zarazem udając przed samą sobą, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło. Może kilka miesięcy.

Potem na pozór potrafiłam już jakoś funkcjonować. Dlatego próbowałam wrócić do pracy. Wydawca przedłużył mi terminy z powodu wyjątkowych okoliczności, ale szybko odkryłam, że chociaż jakoś sobie radzę z codziennością, to jednak głęboka depresja i tłumiony żal doprowadziły do blokady twórczej. Kto by pomyślał?

Miałam wyjechać do Nowego Jorku tylko na krótko. Chciałam uciec od rodziny namawiającej mnie uparcie na terapię, od świeżego powietrza i liny ratunkowej, od której sama się brutalnie odciąłam. Planowałam wynająć ładne mieszkanie w Greenwich Village i spełnić swoje marzenia o byciu drugą Carrie Bradshaw.

Ale poniosłam porażkę na wszystkich frontach. I z jakiegoś powodu okazało się to dziwnie pocieszające.

Chyba po prostu dużo łatwiej jest się smucić z bycia nieudacznikiem niż z tego, że straciło się całą miłość, jaką się kiedykolwiek znało.

Pogrążyłam się w tym: w porażkach, depresji, alkoholu i przygodach na jedną noc.

Dopóki Everett nie zapukał do moich drzwi.

Gdybym wiedziała, że się zjawi, może bym się jakoś na to przygotowała. Nic tak nie motywowało mnie do sprzątania mieszkania, jak telefon od rodziców czy braci z informacją, że przyjadą z wizytą. Jakimś cudem wcielałam się wtedy w pełną nadziei pisarkę i przewodniczkę po Nowym Jorku – szczęśliwą i optymistycznie nastawioną do życia w Mieście Marzeń.

Tego dnia jednak nie spodziewałam się Everetta. Pojawił się bez zapowiedzi, rzucił tylko jedno spojrzenie na moje martwe oczy, obcego faceta w moim łóżku i bałagan, w którym żyłam, po czym zabrał mnie do domu.

Był przekonany, że zapach oceanu, moja ulubiona kawa z Zachodniego Wybrzeża i ramiona matki wypędzą wszelkie demony, z którymi walczyłam przez ostatnie lata. Niestety po sześciu miesiącach od wprowadzenia się do domu, który dzieli ze swoją dziewczyną i jej dziesięcioletnią córką, jedno jest dla mnie pewne: boleśnie go rozczarowuję. I nie mogę tego znieść.

Jestem dla mojego brata bliźniaka ciężarem i – tak, nadal – jednym wielkim pieprzonym bałaganem.

Postanowiłam więc nie spać całą noc, pogapić się w pusty ekran komputera i spróbować sklecić jakieś słowa. Udało mi się wmówić Everettowi, że znowu piszę, i to chyba jedyny powód, dla którego jeszcze nie wyrzucił mnie z domu ani nie zmusił do szukania innej pracy. Nienawidzę kłamać prawie tak samo, jak zawodzić bliskich, dlatego staram się, jak mogę, ale w mojej głowie nadal panuje pustka.

Najwyraźniej jestem skazana na bycie rozczarowującą wszystkich kłamczuchą.

Mam swoją rutynę: nie śpię jeszcze o czwartej rano, kiedy to Everett i Dahlia zaczynają swój dzień. Oboje są z tych ambitnych, którzy lubią brać sprawy w swoje ręce. Rozmawiam z nimi przez chwilę, zanim w pełni się rozbudzą. Zakładają, że pracuję nad książką – w końcu zawsze pisałam po nocach.

Potem, kiedy wracają z pracy, żadne z nich nie pyta, dlaczego wciąż leżę w łóżku, ani nie zaprasza mnie do wspólnej kolacji, żeby porozmawiać o minionym dniu. Całe szczęście, bo nie muszę udawać, że jestem równie zadowolona z życia jak oni.

Zarzucam na ramiona za duży kardigan, wstaję od biurka i schodzę po cichu po schodach. Słyszę nad głową dźwięk odkręcanego prysznica, gdy stawiam czajnik na kuchence. Przetrzęsłam szafki w poszukiwaniu ulubionej herbaty i sięgam po miód.

Chwilę później słyszę coś, co bardziej przypomina tupot końskich kopyt niż ludzkie kroki na schodach, po czym zza rogu wyłania się mój wielki brat o wzroście ponad metr dziewięćdziesiąt, w samym ręczniku przewiązanym w pasie i dłonią przeczesującym mokre ciemne włosy.

– Jezus Maria! – Odskakuje do tyłu, kiedy zapaliwszy światło, zauważa mnie przy kuchennej wyspie. – Skradasz się jak pieprzony kot.

– Przyjmuję to jako komplement.

– Wstałaś wcześniej czy jeszcze się nie położyłaś? – pyta, podchodząc do ekspresu, żeby zaparzyć kawę.

Everett otwiera swój sklep dopiero o dziesiątej, ale odkąd Dahlia uczęszcza na organizowany w pobliskim centrum kulinarnym kurs pieczenia, który zaczyna się o szóstej, mój brat każdego ranka wstaje razem z nią. Zaparza jej kawę, odprowadza do drzwi, a potem szykuje jej córkę do szkoły.

– Jeszcze się nie położyłam. – Ziewam.

Doskonale zna mój rytm okołodobowy, ale chyba wciąż ma nadzieję, że jakoś się ogarnę i pewnego ranka zobaczy produktywną, zmotywowaną i ambitną wersję mnie, gotową podbić świat.

– Jak ci idzie praca nad książką?

Na szczęście w tym momencie czajnik zaczyna gwizdać, stwarzając mi idealną okazję do uniknięcia odpowiedzi na to pytanie. Zdejmuję go z palnika i nalewam wody do kubka. Brat obserwuje mnie w milczeniu oparty o blat, z rękami założonymi na piersi, i czeka, aż zaparzy się kawa dla Dahlii.

Odkładam wszystko na miejsce i powoli wycofuję się w stronę schodów.

– Spróbuję napisać jeszcze parę słów.

Takich, których potem nie skasuję.

– A potem się położę – dodaję. – Miłego dnia.

– Lele.

Surowy ton głosu brata sprawia, że się zatrzymuję i odwracam w jego stronę.

– Wiesz, jaki dziś jest dzień, prawda?

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Tak, Everecie – mamrocę przez zaciśnięte zęby.

– Wszystko dobrze?

Wzdycham, a gardło nagle mi się zaciska.

– Tak. Jedyne, co sprawia, że nie czuję się dobrze, to słuchanie ciągłych pytań, czy wszystko ze mną okej.

Everett unosi brwi, nie wygląda na przekonanego.

– Pytam cię o to tak często, bo ciągle kłamiesz i mówisz, że jest dobrze, kiedy wyraźnie – wskazuje na mnie ręką – nie jest.

– Nie chcę dziś o tym rozmawiać. – Spuszczam wzrok na swoje stopy, bo nie podoba mi się poczucie winy, które uderza we mnie, gdy na niego patrzę.

– Ty nigdy nie chcesz o tym rozmawiać. Ale powinnaś. Zwłaszcza dzisiaj.

O czym tu w ogóle gadać, do cholery? Kochałam kogoś. Złamał mi serce. Powiedziałam mu okropne, niewybaczalne rzeczy, których nigdy nie cofnę, a on potem zginął. Koniec.

– Dzień dobry – odzywa się zaspany głos zza moich pleców.

Dahlia zeskakuje z dolnego stopnia schodów i z uśmiechem wchodzi do kuchni.

Everett rzuca mi spojrzenie, które mówi, że jeszcze ze mną nie skończył. Kiedy przenosi wzrok na swoją dziewczynę, jego oczy natychmiast łagodnieją, a twarz tak się rozjaśnia, jakby mnie tam w ogóle nie było. Uśmiecha się do niej i nagle noc zdaje się przechodzić w dzień.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę mojego bliźniaka aż tak w kimś zakochanego. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że w ogóle się w kimkolwiek zakocha. Kiedy wyjechałam z Pacific Shores, był emocjonalnie niedostępnym playboyem, który uwielbiał imprezować, a po powrocie prawie cztery lata później zastałam go nie tylko w stałym związku, ale też obdarzającego córkę swojej dziewczyny mnóstwem ojcowskiej miłości.

To jakieś szaleństwo.

Prawie zbiera mnie na mdłości, gdy na nich patrzę, a mimo to nie mogę powstrzymać uśmiechu, gdy przyciąga ją do piersi i składa pocałunek na jej ustach. Cichy jęk, który wydobywa z siebie Dahlia, to zdecydowanie mój sygnał do wyjścia.

– Dobra, to ja już pójdę. Miłego dnia. Do zobaczenia wieczorem.

– Dobranoc, Eleno – mówi śpiwnie Dahlia i śmieje się w szyję mojego brata.

Już zaczynam wchodzić po schodach, gdy Everett mnie woła. Zatrzymuję się i czekam, aż powie, o co mu chodzi.

– Nie denerwuj się na mamę, tatę ani Leo, jeśli przyjdą dziś sprawdzić, co u ciebie.

Nie odpowiadam. Idę dalej do swojego pokoju, gaszę lampę, wpełzam do łóżka i pozwalam, by pochłonęła mnie ciemność.